PRAWDA

Pismo tygodniowe.

Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.

Rok XXXIV Nr. 29 *Warszawa, 18 lipca 1914.* Widok 3.

W. RZYMOWSKI.

Niemojewski.

1.

Andrzej Niemojewski, redaktor i wydawca *Myśli Niepodległej*, jest jednym z najrzadszych okazów ludzkich: jest to człowiek, który niezmiernie rozległą za sobą posiadając przeszłość, żadnej nie posiada historji. Historja bowiem jest rozwojem; jest ciągłością ruchu; jest dojrzewaniem pracy: jest więc, przedewszystkim, kierunkiem i — dążeniem. Tymczasem Niemojewski nie żywi ani kierunku, ani dążenia. Umysłowość jego zamknięta jest w błędnym kole. Działalność jego publiczną przechodzić można wzdłuż, tam i z powrotem, jak opowieść warjata: zarówno będzie zajmująca i—jednakowo, w obie strony, niedorzeczna. Jest w redagowaniu *Myśli Niepodległej* coś, co przypomina maszynę: ten sam, z tygodnia na tydzień rozmach; ten sam świst stłoczonej pary; z tą samą chyżością grzmi koło rozpędowe; tylko... od czasu do czasu jakaś dłoń niewidzialna przekłada z koła na koło transmisję, i tym aktem prostym ruch maszyny, odbywający się w jedną stronę, zawraca nagle ku stronie przeciwnej i — znów para świszcze i koło rozpędowe grzmi. Oh! tak, Niemojewski jest wytrwały i niezmordowany: wszystkie przyznać mu trzeba zalety, którymi chwali się i zaleca maszynę w przeciwieństwie do człowieka. Można mu przyznać nawet to, że idzie z biegiem czasu: w tym jednak znaczeniu wyłącznie, w jakim idą z biegiem czasu zegary, w których sprężyna naprzód się nakręca, a potym stopniowo się rozkręca. O Niemojewskim twierdzić nie należy tylko jednej rzeczy, mianowicie: że jest człowiekiem żywotnym. Bo jemu właśnie brak jest żywotności; żywotność oznajmia się w ewolucji, w szeregu czynów, w linji rozwojowej; on zaś posiada w sobie tylko doskonałą maszynerję, wyrażającą się w ruchach i w odruchach. Niemojewski nie rozumie, co znaczy *wzwyż!* Nie rozumie, co znaczy *ciągle naprzód!* Co znaczy *wgłąb!* On rozumie tylko: *dwa kroki naprzód—dwa kroki wtył!* A potym na tej samej płaszczyźnie: *dwa kroki wlewo — dwa kroki wprawo!* Jest stworzony na więźnia. Dlatego to sądzę, iż ten, ktoby istotę Niemojewskiego ująć chciał właściwie, a nie popełnić przesady, rzecby o nim powinien to, co o genjalnym da się rzec pajacu: że genjalnie jest skonstruowany.

2.

Małych parę przykładów.

Przykład pierwszy.

W zeszycie 110 *Myśl Niepodległa* pisała:

«Sienkiewicz powiedział: rozpoczyna się walka o lud! Tak, rozpoczęła się zajadła walka o lud księży z oświatą, z rozumną książką, z pismem jako tako liberalnym. Lud jest wielkim serwitutem kleru, to jest kopalnia jego djamentów. W tej walce stoi po stronie kleru szlachta, a po stronie obu narodowa demokracja. Wszystkim tym warstwom zależy na tym, aby lud był głupi, ciemny, niemrawy, duchowo i materjalnie bez inicjatywy, aby był ubogi i ekonomicznie od nich zawisły...» (Andrzej Niemojewski)

W zeszycie 281 *Myśli Niepodległej* czytamy:

«Znakomity nasz powieściopisarz-obywatel, Henryk Sienkiewicz, powiedział, iż musi u nas stoczyć się walka o lud. Niestety, ów lud dawno to zauważył i zaczął być stokroć więcej przebierającym, niż posażna jedynaczka, mająca kilku konkurentów. Nie trzeba być nadto bystrym obserwatorem, aby dostrzec, że lud na swój wielki ogół wcale jeszcze nie doszedł do tego idealnego poczucia gromadzkości, w imię którego przemówił Sienkiewicz. Jest to jeszcze zupełna surowizna, nieraz wskutek zatknięcia się z nieszczególnym typem inteligencji miejskiej skabotynizowana. Już kwitną jej na ustach różne liczmany patrjotyczne, ale sumienie ma po staremu grube i chce na rozmaitych ideologjach narodowych zarobić...» (Andrzej Niemojewski)

Przykład drugi:

W zeszycie 110 *Myśli Niepodległej* pisano:

«... Wspominaliśmy o naganie *Zorzy* i *Głosu Warszawskiego* (ówczesnego organu nar. demokracji, *przypisek red. Prawdy)* na *Zaranie* i tak zwanych ludowców; obecnie możemy już mówić o skutkach tej naganki... Denuncjatorski artykuł *Głosu Warszawskiego* został w całości przedrukowany przez *Warszawskij Dniewnik*, a w kilka dni później rozpoczęły się rewizje u p. Mateusza Manterysa, J. Miszczyka, Piotra Ziarki i p. Zaporskiego w Miechowie. Nic podejrzanego nie znaleziono... Gdy p. Dmowski oświadczył publicznie, że stronnictwo jego wzięło sobie za zadanie tylko zwalczanie socjalizmu, jest obecnie naturalne, że władze, zwalczając socjalizm i anarchję, idą za wskazówkami organów, pozostających pod wpływem p. Dmowskiego...» (Andrzej Niemojewski)

W zeszycie 281 *Myśli Niepodległej* czytamy:

«Można jeszcze jako tako zrozumieć, iż chłopstwo które nie wie jak z panami zachować się w jednym towarzystwie, chce się wyodrębnić w osobny związek i tam nauczyć się żyć społecznie. Ale wtedy mogą doskonale zbliżyć się ku sobie wydziały obu instytucji (Centr. Tow. Rolniczego i Kółek Staszicowskich, *przypisek red. Prawdy*)...» (Andrzej Niemojewski)

Nie chodzi mi bynajmniej o wyczerpanie różnic w opinjach, przez *Myśl Niepodległą* wygłoszonych: byłaby to praca na parę tygodni. Idzie mi o coś innego: o typ owych różnic, o ich jakość, o ich naturę. Dla ujęcia zaś typu ich oraz natury dwie pary powyżej wskazanych twierdzeń zupełnie wystarczają.

3.

W przykładzie pierwszym oba twierdzenia zagaja zdanie Sienkiewicza co do konieczności rozegrania się walki o lud. Gdy jednak początkowo Sienkiewicz, wzięty został przez *Myśl Niepodległą*, jako ujemna odskocznia, to w następstwie brany jest jako dodatnio zeznający świadek. Zrazu więc mamy Sienkiewicza ze znakiem algiebraicznym *minus* (—), potym tenże Sienkiewicz powołany zostaje ze znakiem *plus* (+). To samo dzieje się z ludem. Naprzód przedstawiany on jest jako ofiara spekulacji ze strony klas oświeconych; potym lud sam przedstawiony jest jako spekulant, chcący zarobić na ideologjach, przez klasy oświecone wysnutych. Jakaż więc zaszła różnica między obu twierdzeniami? Pozycje, którymi się operuje, zostały te same; pojęcia te same; niemal te same wyrazy. Zmieniono znowu tylko znaki algebraiczne; tylko znaki przesunięto. Dawniej było: + *lud*, — *szlachta*; a teraz jest — *lud*, + *szlachta*.

Można-ż przemianę taką nazwać ewolucją poglądów? Między twierdzeniem jednym a drugim upłynęło lat pięć: można-ż powiedzieć, że ten okres pięcioletni osadził jakiś na łamach *Myśli Niepodległej* pokład doświadczenia? Niestety, w pierwszym twierdzeniu widzimy te same pierwiastki, które będą w drugim; w drugim są te, które już były w pierwszym.

Człowiek, stojący na głowie jest tym samym człowiekiem, który przedtym stał na nogach, tylko... odwróconym. Można-ż powiedzieć o nim, że dokonał ewolucji, stając na głowie? Jeżeli tak, to, oczywiście i poglądy *Myśli Niepodległej* odbywają ewolucję, albowiem stają na głowie. Zazwyczaj jednak ewolucje takie nazywają się... łamańcami.

Przykład drugi jest jeszcze typowszy.

Naprzód w nim piętnuje się «panów» za to, że denuncjują «zaraniarzy»; potym zaś piętnuje się zaraniarzy za to, iż nie mają zaufania do «panów».

Raz jeszcze pytamy: jest-że to ewolucja, czy koziołki?

Dwa kroki wprawo, dwa kroki wlewo...
Dwa kroki wlewo, dwa kroki wprawo...
Czy to człowiek żywy poprzez sprzeczności rozwija się i dąży ku syntezie? Czy też pajac, na nitce uwiązany, dryga?

4.

Z kilkuletniego okresu istnienia *Myśli Niepodległej*, jak rzekłem, setki możnaby dobyć sprzeczności. Niema w Polsce człowieka, o którymby Niemojewski nie wygłosił dwu zdań biegunowo sprzecznych. Ileż razy stawiał na pomniku Bolesława Prusa, by go natychmiast strącić w dół i znowu, w jakiejś chwili, do dawnej chwały przywrócić. Ileż razy poniewierał imię Aleksandra Świętochowskiego, aby niebawem imienia tego się czepiać, jak deski ratunkowej, nad tonią powszechnej pogardy. Adolf Nowaczyński był raz w oczach Niemojewskiego opryszkiem, drugi raz wieszczem narodowym. Redakcja *Roli* była przedsiębiorstwem «łajdaka»; w jakiś czas po tym stała się dla Niemojewskiego arką przymierza, w której rękę poda p. Choińskiemu, a poprzez p. Choińskiego zadośćuczynienie ofiaruje pamięci tego, którego nazwisko ongi uważała *Myśl Niepodległa* za wyraz nieprzyzwoity i któremu przed sądem dowiodła, iż z amatorstwa trudnił się donosicielstwem [1]).

Te sądy wszystkie tym się odznaczają, że przy całej krańcowości kontrastu, opierają się na tym samym materjale. Dlatego z taką lekkością i swadą przechodzi Niemojewski od bezwzględnej apoteozy do bezwzględnej negacji, aby od negacji wrócić do apoteozy. Choiński, wczoraj deptany, jest tym samym Choińskim, którego dzisiaj się wieńczy. Za to samo się go wieńczy, za co się go wczoraj deptało. Nic w nim nie przybyło, nic w nim nie ubyło. Nie zmienił się człowiek. Nie zmieniła się wiedza o człowieku. Niemojewski nie odsłonił w nim nowych wartości. On tylko, jak zwykle, zmienił znak algebraiczny. Niemojewski chodzi zawsze po tej samej osi, od jednego bieguna przerzucając się ku drugiemu. Stanie na jednym biegunie: widzi rzeczy z tej strony i — woła: Hosanna! Stanie na drugim biegunie: widzi rzeczy z tamtej strony i—woła: Anatema! Dzięki temu posiada o każdym człowieku i o każdej rzeczy dwa zdania wzajem się wyłączające: to jest jego wszechstronnością.

Wszechstronność taka jednakże charakteryzuje raczej mechanizm, niż człowieka. Żyje w wahadle zegara, które odchyla się raz w lewo, raz w prawo. Żyje w ruchach marjonetki, która o tyleż może się posunąć naprzód, o ile może potym cofnąć się w tył.

Myśl Niepodległa to — nie pasmo, które z nieskończonego snuje się wątka. To wachlarz, który się rozwija i zwija, jak ogon indora.

5.

Ten sam stosunek, który Niemojewskiego cechuje wobec rzeczy i ludzi, charakteryzuje go również wobec idei i zasad.

Jedną z najusilniej zrazu przez *Myśl Niepodległą* propagowanych dyrektyw, była zasada, iż wolnomyśliciel bojować winien o swe ideały w tym środowisku, które go zrodziło. Kto wyszedł ze środowiska katolickiego, niech walczy śród katolików. Kto wyszedł ze środowiska żydowskiego, niech walczy śród Żydów.

Była to zasada nienajgorsza. Niebawem wszakże Niemojewski osądził, że zyska ona jeszcze bardziej na słuszności, gdy się ją odwróci do góry nogami. Poświęcił się więc wyłącznie walce z fanatyzmem żydowskim. «Zaraniarzom» zaś odtąd z niezmierną srogością wytyka, iż walczą z klerykalizmem katolickim.

Niemniej radykalnej uległa w *Myśli Niepodległej* przemianie zasada, która określała stosunek stronnictw do narodu. Pierwotnie podzielał Niemojewski zdanie, że żadne, choćby najliczniejsze, stronnictwo nie ma prawa utożsamiać się z narodem. W imię zasady tej Niemojewski zwalczał narodową demokrację, jako odłam roszczący sobie pretensję do przedstawiania całości narodu. Zwalczał p. Dmowskiego, jako tych niesłusznych pretensji uosobienie.

A dziś?

Dziś *Myśl Niepodległa* głosi: kto przeciw Dmowskiemu występuje, ten jest spiskowcem.

Tak daleko w najdzikszych zapędach nie szła nawet narodowa demokracja.

Pan Dmowski utożsamiał siebie z Pol-

[1]) Mowa o Janie Jeleńskim.

ską: ale w najgłębszym zapewne śnie nie marzył, iżby stać się mógł tym, kim czyni go *Myśl Niepodległa*: pomazańcem bożym!

Pan Dmowski wykrył w Polsce masonów. «Eh! fraszka!—odrzekł na to Niemojewski. — Ja wytropię rzecz okropniejszą: spisek przeciwko Romanowi Dmowskiemu!» To rzekłszy, pobiegł tropem spiskowców i — wykrył koncentrację...

Lecz jeśli dziś *Myśl Niepodległa* głosowanie wyborcze o niepomyślnym dla Dmowskiego wyniku piętnuje mianem spisku, to jutro—spodziewam się—krytykę dmowszczyzny nazwie herezją, a pojutrze już heretyków wlec będzie na stos, ułożony... z dawnych artykułów Niemojewskiego.

Przy rączości, z jaką odbywają się «ewolucje» *Myśli Niepodległej*, mam jednak nadzieję, że Niemojewski, wietrząc zajadłą przeciw Dmowskiemu intrygę, zdoła nareszcie schwytać sam siebie za ogon, i w tryumfie, jako jeńca, przed tron Dmowskiego przywiódłszy, sam na sobie dokona harakiri, ażeby bunt swój dawny przykładnie ukarać.

6.

Ten ostatni obraz jest symbolem, malarskiego godnym pędzla. Streszcza się w nim to, co powiedziałem na początku o Niemojewskim, że: człowiek ten nie jest zdolny do jakiejkolwiek ewolucji. Robi on mechaniczne wolty, jak pajac; iść wgłąb', lub wzwyż, jak człowiek posiadający ducha, nie potrafi.

Niemojewski na każdym zakręcie drogi swą ideę gubi, i na każdym zakręcie swą ideę znajduje. Gdy napotka dla swej idei opór, nie postanie mu w głowie wytężyć siły do walki: pierwszą myślą, która mu w głowie świta, jest: zrzec się idei. I — zrzeka się idei.

Wiem, że Niemojewski cierpiał; wszelako cierpiał on nie tyle za przekonania swe, ile za wybryki pisarskiego temperamentu, n. b. w bardzo złym guście. Ale nie o to chodzi. To było. Chodzi o teraźniejszość. Pytam się, z jakim taborem ideowym wstępuje Niemojewski obecnie do obozu narodowej demokracji? Z jaką ideą własną? Z jakim własnym bogiem?

Czyż wrogowie narodowej demokracji nie stali się jego wrogami? A przyjaciele jej — jego przyjaciółmi? Czy nie stał się ugodowcem, jak ona? Ugodowcem i wstecznikiem, jak ona?

Czy nie bierze cukru z dłoni Dmowskiego? Czy nie skacze w swej klatce «niepodległej» przez pręty i obręcze, jakie mu Dmowski podstawi?

Co spłodzi prasa narodowo-demokratyczna, to *Myśl Niepodległa* jak pacierz za paniąmatką klepie.

A przecież Niemojewski sam w zeszycie 284 przytwierdza: «Narodowa demokracja pozostała sobą». Jeśli więc narodowa demokracja pozostała sobą, to Niemojewski, aby się z nią uzgodnić, musiał przestać być sobą, bo przecież jeszcze całkiem niedawno oskarżał ją, że idzie ręka w rękę z policją. Musiał u jej progu dawny swój program i dawną swą wiarę złożyć, swe oskarżenia bynajmniej niebłahe odwołać. Złożył tedy swój wrzący antyklerykalizm i swój demokratyzm; napluł na swą niepodległość i zdeptał swoją wreszcie myśl... Zaopatrzono go w nową broń i w nowe metody walki. Z tą bronią rzuca się on dzisiaj tam, kędy poszczuje go Dmowski. A więc naprzód rzuci się w sukurs kołtunerji galicyjskiej; potym rzuci się specjalnie na Kukiela i Piłsudzkiego; z kolei utnie w piętę Sieroszewskiego; wreszcie jednym tchem pocznie ciskać wymysły, kłamstwa, plotki i oszczerstwa na ruch ludowy, na postępowców, na wszelki objaw samodzielności śród ludu, na wszelki objaw samodzielności śród inteligiencji, bez ładu, bez składu, bez sensu, ale głośno, ale rykliwie. Niech żyje i niech nam panuje Dmowszczyzna! — woła z gorliwością endeckiego neofity.

Gdzież jest ślad dawnych ideałów Niemojewskiego? Gdzież legenda jego młodości? Gdzież jego *nobile verbum?*

«...Gdy chodzi o prawdę i słuszność,— woła Niemojewski dzisiaj z progów narodowej demokracji, — umiemy iść, tratując po drodze!...» Ah! więc już doszło do tego, że kopytami nam grozi? Nieborak!... Więc nawet rogi mu odjęto?...

7.

Nazwałem Niemojewskiego człekiem, stworzonym na więźnia. Nie jest to puste słowo. Niemojewski nie znosi swobody. Nie

potrafiłby żyć bez bożka. On co dziesięć dni bożków swoich zmienia: to prawda. Ale też na tym jedynie niepodległość myśli jego polega: na częstej zmianie bożków. Tą zmianą uwiódł on opinję ogółu, który w nim przywykł widzieć buntownika, gdy w rzeczywistości Niemojewski zawsze buntował się tylko przeciw dogmatowi rozleglejszemu w imię dogmatu ciaśniejszego. Nie zapominajmy, że punktem wyjścia jego buntu przeciw Jezusowi była akuszerja. Im ciaśniej czuje się zamknięty w karbach dogmatu, tym się czuje lepiej. Im mocniejsze czuje w ustach wędzidło, tym rzeźwiej parska. Dlatego też *Myśl Niepodległą*, wcześniej czy później, musiała ujarzmić dłoń Dmowskiego. Czy na długo? Nie przesądzajmy... Niemojewski nie tylko kocha się w wędzidle, ale ceni też świeżość wędzidła.

8.

Stwierdzając, że Niemojewski sprzeniewierzył się ideałom, które mu dawniej przyświecały, nie chcę przeto powiedzieć, że je skrzywdził. Przeciwnie! Niemojewski staje się nieszczęściem wszelkiej sprawy, której usługi swe odda. Należy on do tych jednostek, które jest lepiej mieć przeciwko sobie, niźli obok siebie. Gorzko doświadczyło tego na swym terenie Tow. Kultury Polskiej, które Niemojewski dwa lata temu obrał za pole swego popisu. Ścierały się podówczas w T. K. P. dwa prądy, stały przeciwko sobie dwa obozy. Jeden z obozów tych, ten, w którym znalazł się Niemojewski, miał zadanie szczególniej trudne: bronić się musiał nietylko przeciw napaściom przeciwnika, ale i przeciw obronom Niemojewskiego. W gronie najszczerszych zwolenników idei, w imię której występował, powstała wątpliwość, czy można lepszej sprawy gorszymi bronić sposobami? Niemojewski zarzuca innym, że «zdradzają w oczach i twarzy łapczywość na huczny poklask», gdy im się zdarzy przemawiać publicznie, a któż, jeśli nie on, ku wstydowi zebranych, wołał do sali podówczas: «Bijcie mi oklaski!» — wyznając tym otwarcie, że platforma społeczna służy mu tylko za podjum, by sięgać po laury komedjanta. To też rychło podziękowano Niemojewskiemu za jego gościnne w T. K. P. występy: dano mu do zrozumienia, że najskuteczniej poprze sprawę, której broni, gdy... przestanie jej bronić. Redakcja *Prawdy* przechowuje listy grona delegatów T. K. P., streszczające się w jednym przeświadczeniu: s p r a w a j e s t s ł u s z n a; i w jednym pytaniu: c z e m u ż w i ę c j e j b r o n i N i e m o j e w s k i?

9.

Dopóki «wolty» Niemojewskiego dokonywają się w obrębie przekonań politycznych i społecznych, póty budzić mogą bądź gniew, bądź wesołość, bądź zdumienie w tych, którzy na nie patrzą. Ale postać rzeczy się zmienia, gdy z równie taneczną swobodą Niemojewski przenosi swe «wolty» w dziedzinę etyczną. Gniew i zdumienie przeobrażają się wtenczas w uczucia wstrętu i obrzydzenia. W transformacjach pierwszego rodzaju rozkłada się i kruszy d z i a ł a c z p u b l i c z n y. W transformacjach rodzaju drugiego rozkłada się i kruszy c z ł o w i e k. Niemojewski zrzekł się ideału w ł a s n e j c h a t y, jakby się wyraził Grabiec, przystał do p a ń s k i c h d z i a d ó w: mniejsza o to! Ale dlaczego, gubiąc działacza wolnej myśli, zabił w sobie jednocześnie człowieka? Dlaczego nie żegnany przez nikogo żalem, odejdzie ścigany przez nas wstrętem?

Dlaczego odejdzie z pola naszych oczu nietylko ze znakiem zaprzańśtwa ideowego na czole obywatela, ale i z ohydą rzeczy plugawych na sumieniu ludzkim? Z ohydą dwu rzeczy strasznych: denuncjatorstwa i szantażu!

Czy Niemojewski nie wie, jakiego dopuścił się uczynku, charakteryzując w n-rze 275 *Myśli Niepodległej* organ niemiłej sobie ideologji? Czyż nie wie, jakie w naszych warunkach znaczenie mieć może podkreślanie pewnych słów, wskazywanie palcem pewnych osób? Czyż istotnie szukać zechce usprawiedliwienia w owej etyce klasycznego dzikusa, która powiada: «Źle jest, gdy mnie ktoś dennucjuje; natomiast dobrze jest, gdy ja kogoś denuncjuję»? Więc, gdy biskup denuncjuje fałszywie, to — szubrawiec? A gdy *Myśl Niepodległa* denuncjuje, to... robi w społeczeństwie porządek?

Szantażem zaś nazwać muszę artykuł, jaki w *Myśli Niepodległej* (N-r. 283) ukazał się p. n. «Przeciw chamstwu». Szantażem, gdyż Niemojewski dobrze wiedział, iż za wszystko, co się w piśmie ukazuje, odpowiedzialna bywa redakcja, i że redaktor *Prawdy* całkowitą

odpowiedzialność za treść pisma przyjmuje. Zwracając się tedy przeciwko wydawcy, jedno tylko mógł mieć na widoku: rozbić grupę ideową ludzi, skupiających sie wokół pisma istotnie niezależnego. Niemojewski redakcję *Prawdy* posądził o to, że w głębi swego przekonania nie miałaby dlań ani słowa krytyki: niechże wie, że powziąłem dla niego szczerą i bezinteresowną pogardę.

Ha! ha! ha! Niemojewski oskarżył redakcję naszą o przedajność: czyż sądzi, że pogardę dla niego trzeba aż opłacać złotem?

Lecz na tym właśnie szantaż polega, że Niemojewski sam we własne oskarżenie nie wierzył. Inaczej bo jakżeżby mógł niemal jednocześnie (N-r. 276) pisarza przedajnego nazywać tym «który nietylko coś z nami wspólnie studjował, ale przeżył, przecierpiał, dojrzał i doświadczył, który tu był na miejscu i w naszym szeregu, nigdy go nie opuszczając, służąc myśli polskiej i jednocześnie tak sprawiedliwej»...

Nie uważam tych słów za obowiązujące dla kogokolwiek, poza Niemojewskim; ale sądzę, że Niemojewskiego obowiązywać powinny, gdy są szczere, piętnować, gdy — skłamane.

Wybieram lepszą dla niego konjunkturę i, przezwyciężając wstręt, jaki budzą we mnie pochwały tego człowieka, przypuszczam, że były jego słowa szczere.

I wtenczas to otwiera się ta gangrena moralna, którą oddycha Niemojewski. Służyć myśli polskiej oraz służyć sprawiedliwości, to—dla niego, zasadniczo, nie wyłącza bynajmniej faktu przedajności słowa! Służyć myśli polskiej a jednocześnie posiadać zdolność kłamania za pieniądze: te dwie rzeczy w duszy Niemojewskiego godzą się; te dwie rzeczy jednym tchem o jednym wygłosi człowieku. Czyżby sumienie jego również niekiedy... stawało na głowie?

10.

Pomijam już ten przyziemny impet, z jakim Niemojewski zdeptał godność swego zawodu, godność pisarza i myśliciela, odpowiadając na argumenty myślowe, na krytykę rzeczową, krytyką... kwitów przedpłatniczych. «Jeśli protektorowie p. Malinowskiego — woła *Myśl Niepodległa* — nie zajmą się... ukróceniem p. M., to będziemy musieli zabrać się do ukrócenia... protektorów.» Tak wołać może tylko ktoś, kto już doświadczył na sobie skuteczności ukrócenia!... I ten tylko, kto wolność swoją sprzedał za pierwsze dwa grosze poklasku, jakie mu wetknięto w rękę, ten tylko może *Prawdę* posądzać, że «ulega mamonie».

Atoli, wiedząc, ile są warte oskarżenia tego człowieka, pytam: co wart jest jego entuzjazm?

Co wart jest jego entuzjazm, jeśli w nim, jak w łupinie, ukrywa się robaczywe jądro; co warta jest jego przyjaźń, skoro w zanadrzu chowa najplugawsze posądzenia? Co warta jest, nakoniec, jego dusza, która te potworności ogarnia?

Szczerością — kłam zadaje sama sobie.

Entuzjazmem — kala.

Przyjaźnią — odpycha.

Wspomnieniem — własną poniewiera pamięć.

ORION.

Echa Prawdy.

I. Z Mazowsza pruskiego. II. Muzyka, cyrk i polityka. III. O nas i my. IV. Z Kapitolu na Skałę Tarpejską. V. Aut — aut.

I. W zagięciu północnej linji Królestwa Polskiego, w ośmiu powiatach dawnych Prus Książęcych, dzisiaj Prus Wschodnich, pod ścianą gubernji Płockiej aż do Suwalskiej, więdnie ogromna gałąź naszego szczepu w zabójczej atmosferze hodowli pruskiej.

Jest to blizko półmiljonowa gromada Mazurów, których germanizacja przeniknęła głęboko swym niszczącym wpływem. W walce z obcą kulturą stracili niemal że wszystkie właściwości plemienne, lecz zachowali z historycznej ojcowizny jedną dziedzinę, której im wszystkie zamachy na ich odrębność wydrzeć nie zdołały, mianowicie język. W mowie rodzinnej, jak w ostatnim niezdobytym szańcu okopali oni swoją polskość i bronią jej tak mężnie, że oblężnicze szturmy germanizacji zrobiły zaledwie drobne szczerby w wałach tej ich reduty. Ale ta bohaterska obrona jest raczej dziełem instynktu samozachowawczego, niż świadomych myśli i uczuć. Mazurzy pruscy nie toczą zaciętego boju, jak lud poznański i śląski, w należytym zrozumieniu grożącego im niebezpieczeństwa i w ukochaniu swej narodowości, lecz

ulegają odruchowi żywiołowemu, jakiejś bezwiednej a potężnej sile wewnętrznej, która im nie pozwala rzucić na pastwę drapieżności pruskiej cennego klejnotu ze spuścizny ojczystej—języka. Tą resztą narodową wynaturzonych dusz swoich przypominają nam obowiązek ratowania ich od całkowitej zagłady.

Nad wynarodowieniem Mazurów rząd pruski pracuje oddawna z niezmordowaną usilnością, a od szeregu lat tym jego zabiegom hakatyzm nadał szczególne natężenie.

Od zacnej pamięci Gizewjusza, pierwszego budziciela Mazowsza, przez długie lata zagasły tam ogniska wpływów polskich. Praca nad uświadomieniem Mazurów była dorywcza i nikła.

Dopiero ostatnimi czasy wszczęto tu szerszą akcję. W r. 1906 nabyto dom w Szczytnie, zakupiono drukarnię i założono pismo *Mazur*. Pomimo liczne przeszkody i prześladowania ze strony miejscowych czynników administracyjnych i hakatystów, pismo rozwija się i zwalcza subwencjonowane przez rząd pruski pismo antypolskie *Pruski przyjaciel ludu*, wydawane w języku polskim przez pastora Maksa Skowronnka. Powstałe zaś przy moralnym poparciu *Mazura* Kółka rolnicze i Bank ludowy w Szczytnie rozwijają się pomyślnie i spół działają sprawie uświadomienia Mazurów.

Do najbardziej naglących potrzeb narodowych, dla skutecznej walki z germanizacją—należy dziś sprawa dalszego utrzymania tu jedynego organu mazurskiego, tygodnika *Mazur*, około którego ogniskuje się niemal cała praca nad odbudowaniem tej zaniedbanej i zagrożonej placówki narodowej. W tym też kierunku zmierzają zabiegi dzielnych budzicieli i pracowników na niwie odrodzenia Mazowsza.

II. Jak wiadomo, Galicję odwiedzili niedawno p. p. Karabasz i Rakoczy, delegaci, wysłani przez Związek Narodowy w Ameryce. dla zapoznania się na miejscu z działalnością Komisji Tymczasowej.

Powodem bezpośrednim ich wycieczki była rozbieżność opinji, jakie o Komisji Tymczasowej krążyły wśród Polonji amerykańskiej.

Pragnąc ustalić prawdę, Związek zwrócił się do bawiącego podówczas w Ameryce Paderewskiego z prośbą, by zechciał wypowiedzieć swe zdanie.

Głośny pianista wydał o komisji sąd bardzo surowy i mocno dla niej niepochlebny.

Jakiś skrupulat wszakże zauważył, że zdanie jednego człowieka, chociażby tak sławnego jak Paderewski, nie może być miarodajne i zaproponował, by zwrócono się do drugiej znakomitości polskiej, bawiącej również za Oceanem, mianowicie do Zbyszka-Cyganiewicza.

Rady usłuchano. Wielką jednak konsternację wywołało oświadczenie niezwyciężonego atlety, iż Komisja Tymczasowa zasługuje na uznanie i poparcie...

Dwie biegunowo przeciwne opinje; obie pochodzą od ludzi, z polityką nie wiele wprawdzie mających wspólnego, lecz cieszących się wszechświatowym rozgłosem i godnie reprezentujących imię polskie wśród obcych. Co czynić? Rada w radę, postanowiono wyprawić delegatów do Polski, by zbadali rzecz na miejscu.

Se non e vero, e ben trovato.

Nic nie wiadomo, kim są z zawodu owi dwaj panowie delegaci.

Sądząc wszakże z listów otwartych Daszyńskiego i Sieroszewskiego, w których zostali oni scharakteryzowani, jako «smutni nieucy», «prostaccy pyszałkowie» i t. p. przypuszczać wolno, iż posiadają kwalifikacje na polityków również odpowiednie, jak Paderewski i Zbyszko-Cyganiewicz.

A może nawet jeszcze słabsze?..

III. Typowy okaz ubóstwa polskiego dziennikarstwa, *Dzień* warszawski, cieszy się niezmiernie, że sprawa polska wypływa w ostatnich czasach na widownię międzynarodową, że się staje aktualnym zagadnieniem, omawianym coraz częściej przez publicystykę najbardziej zainteresowaną, a więc rosyjską i niemiecką.

Zdawałoby się, że stwierdzenie tego faktu powinno nasunąć publicyście polskiemu refleksje poważne, skłonić go do zastanowienia się nad rolą społeczeństwa, jaką powinno odegrać w tak wyjątkowej sytuacji, pobudzić do udzielenia mu tych lub owych dyrektyw.

Dzień natomiast wyciąga ten tylko wniosek, że «lepiej jest mieć możność stwierdzenia dziś aktualności sprawy naszej, niż informować, jak to doniedawna miało miejsce, że nikt się nami nie zajmuje i nikt nawet słyszeć nie chce o Polakach...»

Tylko tyle...

Jakże niewiele potrzeba, by napełnić otuchą i radością serce dziennikarza warszawskiego! Jakże skromnym jest zakres jego aspiracji!

Wystarcza mu do szczęścia, gdy może poinformować czytelnika, że politycy petersburscy i berlińscy przesądzają losy przeszło dwudziestomiljonowego narodu, nie licząc się z jego wolą i traktując go jako masę bierną! Jedyną troską *Dnia* jest, aby «król pruski wyczerpał już wszystkie zasoby intryg antypolskich»...

Nie przychodzi mu nawet na myśl, jak poniżającymi są dla godności narodowej podobne targi, odbywające się poza naszymi plecami, że smucić się raczej należy, iż w tych dyskusjach głos Polski nie jest brany wcale pod uwagę, iż o postawie samodzielnej narodu polskiego mowy dotąd niema.

Wciąż się słyszy w prasie warszawskiej *nas*, *nami*, *nam*, kiedyż zacznie rozbrzmiewać zaimek ten w pierwszym przypadku? kiedyż i *my* będziemy mieli coś do powiedzenia w tej sprawie?

IV. W czasach starożytnych częstym i powszechnym zjawiskiem było, że trybun ludowy dziś czczony i ubóstwiany przez tłumy, nazajutrz niemal szedł na wygnanie lub śmierć, obarczony najcięższymi oskarżeniami.

Coś podobnego dzieje się obecnie w rosyjskim obozie «lewicowym». Raz po raz jakiś bohater, ideowiec, wybitny działacz nagle gdzieś znika z widowni, ucieka za granicę, kryje się, a za nim goni oskarżenie o prowokatorstwo...

Nie tak dawno jeszcze w Dumie petersburskiej rozbrzmiewały gorące mowy przywódcy ruchu robotniczego i posła z Moskwy — Malinowskiego. Upatrywano w nim nowego Lassala czy Bebla. Krótko trwała wszakże sława rosyjskiego trybuna ludu, który dzięki swemu pochodzeniu polskiemu rościł również pretensje do reprezentowania interesów proletarjatu polskiego, rywalizując z posłem warszawskim Jagiełą.

Pewnego pięknego poranku Malinowski rezygnuje bez bliższych wyjaśnień ze swego stanowiska poselskiego i znika bez śladu, niebawem zaś w jednym z petersburskich pism robotniczych ukazuje się list otwarty pewnego «towarzysza», cieszącego się — według relacji *Kuźni* — opinją wielkiej prawości, w którym to liście, powołując się na zagadkową ucieczkę Malinowskiego z Dumy, na uchylanie się jego od sądu, w czym mu pomagają jego byli towarzysze i przyjaciele, na «podejrzenia, które już poprzednio powstawały przeciw Malinowskiemu z powodu niektórych aresztowań», na «kierunek całej działalności Malinowskiego, prowadzący do wszelkiego rodzaju rozłamów, które mogą być na rękę policji jako osłabiające ruch robotniczy, — w następujący sposób towarzysz ów sformułował swe oskarżenie:

1) Ucieczka Malinowskiego z Dumy, a następnie z Rosji, w związku z poprzednim późniejszym jego zachowaniem się, czyni go podejrzanym o prowokatorstwo.

2) Wszyscy, którzy gołosłownie bronią uczciwości politycznej Malinowskiego i uchylają się od przekazania sprawy sądowi, winni są występnego osłaniania człowieka, podejrzanego o prowokatorstwo.

Krótko i węzłowato.

Z Kapitolu na skałę Tarpejską.

V. *Kurjer Poranny*, broniąc w dalszym ciągu swego pomysłu — *prytanejonu*, tonem co najmniej osiwiałego w służbie państwowej kanclerza, poucza «domorosłych politykujących dyletantów», że w polityce chodzić powinno o interesy realne, nie zaś o sentymenty, zapominając przytym, iż wytrawnemu mężowi stanu nie przystoi zajmować się wyłamywaniem drzwi otwartych. Któż bo głosił pogląd przeciwny?

Dlaczego jednak *Kurjer Poranny* sądzi, że pojęcia «anty» i «filo» muszą mieć koniecznie podkład uczuciowy? Również dobrze mogą być wyrazem odpowiednio pojętego interesu, Sympatje gorące Francji względem Rosji nie płyną, oczywiście, z uwielbienia dla filozofji Tołstoja ani z zachwytów nad produkcjami baletowymi Karsawinej, lecz ze względu na ewentualną pomoc Rosji w wojnie z Niemcami. Mimo to polityka francuska obecnie jest wyraźnie filorosyjską i antyniemiecką.

Kurjer Poranny pragnąłby, aby wyznawany przezeń *prytanejon* nie uprawiał polityki ani filosłowiańskiej ani filoaustrjackiej, lecz poprostu politykę polską. To jedno świadczy dostatecznie o zupełnym braku myśli przewodniej w tak długo i szeroko omawianej koncepcji «jednolitości frontu». Skoro bowiem mowa jest o ujednostajnieniu polityki *zewnętrznej*, trzeba się zdecydować na zajęcie jakiegoś określonego stanowiska względem dwuch orjentacji, mających dziś w Polsce swych zwolenników. Gromki frazes: «polityka po prostu polska» nie zastąpi treści konkretnej. Jak sobie autor wstępnych artykułów w *Kurjerze Porannym* wyobraża politykę «po prostu francuską» — bez udziału jej w Trójporozumieniu? Chyba wyznającą zasadę *splendid isolation*. Ale tak doświadczony polityk powinien wiedzieć, że nawet Anglja, która była długo wierna tej zasadzie, musiała wreszcie z niej zrezygnować, przekonawszy się o jej zgubnych skutkach.

Cóż mówić dopiero o polityce polskiej, nie rozporządzającej własnym aparatem państwowym? O ile ma być ona czynna, nie przelewaniem z pustego w próżne jeno — musi posiadać wyraźną orjentację w tym lub owym kierunku.

Tertium non datur.

GROMICZ.

Na gorącym uczynku.

Antoni Miecznik: odwrotna strona ks. Skimborowicza.

***

Kurjer Zagłębia we wstępnym artykule niepozbawionym szerszego polotu, ubolewa że na drzwiach pewnej ubikacji (oo) dworca Wiedeńskiego w Sosnowcu wywieszony jest od trzech miesięcy napis — *z powodu remontu, nieczynny.*

Istotnie jest to fakt przykry. Powinna się nim zająć bliżej polityka «realna».

J. GRABIEC.

Pańskie dziady, —— czy własna chałupa?

III.

Mit o własnej chałupie.

U samego niemal schyłku owego czterdziestoletniego zacisza politycznego, o którem mówiliśmy w poprzednim rozdziale, a mianowicie w r. 1903 zjawiły się dwie publikacje, tworzące jakby zasadnicze wypowiedzenia się w sprawie idei ludowej. Były to: t. zw. „Program Rzeszowski“ Polskiego stronnictwa Ludowego w Galicji, oraz niewielka książeczka posła Jakóba Bojki „Dwie Dusze“.

Ta ostatnia, rzecz raczej psychologicznej i społecznej, niż politycznej, treści — jest punktem wyjścia dla poznania psychiki chłopa-ludowca.

„Ty — chłopie — mimo twego ubóstwa, jesteś większy pan na własnym śmieciu, niż dajmy na to, grabarz, niż organista, niż ks. wikary i pleban, niż propinator, niż woźny, niż kasjer i sekretarz, niż pan komisarz, niż starosta, nawet i wyżej... Ty, chłopie, jak podatek i procenty a kapitał regularnie płacisz, jak powinności gminne odrobisz, jakeś nic nikomu nie winien, jakeś nie złodziej, nie pijak i sądu unikasz, toś pan całą gębą i jedna tylko śmierć cię z domu wypędzić może, a zresztą nikt — nawet sędzia, nawet biskup, nawet minister, nawet król nie może cię wypędzić...“

Takiego uzasadnienia pełni praw obywatelskich dla ludu nie znała dotąd demokracja polska i w dziejach jej też „Dwie dusze“ stały się zjawiskiem epokowym. O książce tej słusznie Feldman powiada, że jest ona tym dla nowożytnego chłopa-obywatela, czym był „Dworzanin“ Górnickiego, lub Rejowy „Żywot człowieka poczciwego“ dla szlachcica za ostatnich Jagiellonów w zaraniu Rzeczpospolitej szlacheckiej. Bojko też — pysznie charakteryzujący walkę duszy wolnej i pańszczyźnianej w chłopie współczesnym, i w oryginalny sposób uzasadniający jego samodzielność obywatelską — stał się jednym z klasyków idei ludowej.

Polityczną i społeczną stronę „idei ludowej“, znaleźć można w ogólnej części „Programu Rzeszowskiego“. Przedewszystkiem zaś znajdujemy tam nową definicję pojęcia „lud“, oraz charakterystykę polityki narodowej ludowców.

„Pojęciem lud — głosi program — obejmujemy *wszystkie warstwy*, zarówno miejskie, jak wiejskie, *które* zajmują się pracą fizyczną, czy umysłową, i *pracę uważają za jedyny tytuł do zasług, praw i obowiązków*.

Lud, w takiem pojęciu — *to rdzeń narodu*. Temu też *polityka, która nie troszczy się o warunki bytu warstw ludowych, narodową nie jest*.

W ścisłej więc a lapidarnej definicji programu Rzeszowskiego, lud staje się rdzeniem narodu — jego duszą i krwią i muskułami zarazem. — Praca narodowa to dusza narodu. Ludem zaś program nazywa wszystkie żywioły pracujące narodu t. j. naogół żywioł twórczy wśród narodu.

Odpowiednią do tego musi być i polityka narodowa. Skoro duszą narodu jest praca, przeto interesy tej pracy i warstw pracujących narodu winny być przedewszystkiem osią i podstawą polityki narodowej.

Praca też narodowa — twórczość w dziedzinie, bądź duchowej, bądź materjalnej kultury narodu, winna być tytułem do zasług, praw i obowiązków obywatelskich.

Tak ujmuje Program Rzeszowski — ideę ludową, czyniąc z niej poniekąd ideologję pracy polskiej, hasło polskich warstw pracujących.

Z formalnej strony trzeba podkreślić, że Program Rzeszowski został opracowany w *kraju* i na podstawie dziesiącioletniego przeszło praktycznego życia politycznego, które upłynęło wśród warunków niezwykle ciężkich.

Ludowcy, formułując w Rzeszowie swoje credo społeczne i polityczne, mieli za sobą ciężką walkę, zarówno ze szlachtą, klerem i biurokracja, jak z bardziej lewicowymi kierunkami: socjalizmem i demagogją Stojałowskiego. Za wielką też zasługę poczytywać należy przywódcom stronnictwa i jego teoretykom, że jednak zachowali w całości zasadnicze tezy swej ideologji pierwotnej, unikając zarówno mglistej frazeologji, jak i oportunizmu nadmiernego. Głównie zaś uznanie im się należy za to, że nie dali się wtłoczyć w ramy stanowości chłopskiej, do czego ich parli zwłaszcza socjaliści.

Co więcej, Program Rzeszowski poprzedzony był przez 17-sto letnią polemikę i dyskusję programową.

Trudno bo sobie wyobrazić różnorodniejsze żywioły nad te, które stały u kolebki idei ludowej, nad tę garść ludzi, co odczuli tragedję duszy ludu polskiego, co jej odruchy i dążności nieświadome a żywiołowe sformułowali w hasłach, i hasła te dali do przetopienia i przekucia w kuźnicy życia politycznego. Sędziwy autor „Chorału“ błogosławił tu chłopa tarnowskiego Bojkę, co wzrósł w świeżej tradycji strasznej nocy, gdy „syn zabił matkę, brat zabił brata“; ponury Rusin, Iwan Franko, lub zacięty chłopski syn, przebojem wdzierający się w „szeregi

wyższych dziesięciu tysięcy" — Stapiński, pracowali obok jednej z najbardziej poetycznych postaci — idealistki krańcowej — jaką była Marja Wysłouchowa, której patrjotyzm ludowy miała następnie zwulgaryzować endecja w swoim *Polaku*... Pozatem przewinęło się tam sporo ludzi, co mieli na najbardziej krańcowych biegunach później stanąć przeciw ludowcom, jak choćby Zygmunt Balicki.

Syntezę wreszcie tych wszystkich najróżnorodniejszych usposobień i umysłowości dane było stworzyć emigrantowi za sprawę socjalizmu, Bolesławowi Wysłouchowi. Był to litewski szlachcic, konspirator-radykał z ideowego pokolenia Kalinowskich, Brzózków lub Sowiczów, którzy w dosłownym tego pojęcia znaczeniu idei demokratycznej całych siebie oddawali, wrastając w lud całkowicie. Epigonem tego pokolenia właśnie—wtrącę tu nawiasem—był i nieodżałowany Jan Adamowicz-Piliński, który we 20 lat później, niż chwila, o której mówimy, ideę ludową do Królestwa przeszczepił.

Wysłouch, głęboki znawca przeszłości naszej i samodzielny myśliciel-socjolog, gruntownie wykształcony, stał się pierwszym teoretykiem „idei ludowej", i odrazu z całą stanowczością zaznaczył zupełnie odrębne pojmowanie polityki narodowej przez ludowców. Oto np. stanowisko ludowców w kwestji zasadniczych tez tej polityki, wyjaśnione jeszcze w zaraniu ruchu ludowego, współcześnie z rozkwitem chłopomanji *Głosu*:

„Polskość—czytamy w redagowanym przez Wysłoucha właśnie *Przeglądzie Społecznym*— to nie akt woli, to fakt przyrodniczo-socjologiczny, to rezultat pewnej sumy cech i właściwości plemiennych, różniących daną grupę ludzkości od jej otoczenia, niezależny nawet od uświadomienia sobie przez naród swej odrębności."

Mamy tu jaknajlepsze nawiązanie dzisiejszej myśli polskiej, gdy chodzi o uzasadnienie prawa bytu narodowego, do idei Libelta, Staszica, lub nawet Frycza Modrzewskiego. Natomiast uznanie samego faktu istnienia narodu za jedyny tytuł prawa do swobodnego rozwoju narodowego było zupełną nowością wobec zarówno „nigdy nieprzedawnionych praw naszych", jak i „pańskich dziadów", uznających państwo ojców za rację bytu narodu synów.

„W granicach każdej narodowości — pisze tenże *Przegląd Społeczny* — istnieje cały szereg związków faktycznych pomiędzy jej członkami. Łączy tu jedność języka i literatury, jedność kultury, a więc wspólność potrzeb duchowych, które też jednakowych wymagają środków... Jeśli więc podstawą związków wszelakich ma być istotna wspólność celów, a tak być musi, skoro ustaną przyczyny, podtrzymujące sztuczny układ dzisiejszy, to będzie nią narodowość, jako całość zbiorowa, istniejąca faktycznie, łącząca ludzi w imię zupełnie realnych ich potrzeb i interesów. Wyrazem tego związku w dziedzinie politycznej jest narodowe państwo."

I znów mamy ostre przeciwieństwo dotychczasowym pojęciom o państwie w polskiej myśli politycznej XIX w.

Państwo własne przestaje być ideałem, stając się potrzebą życiową narodu, jako jedna z jego funkcji. Przypomina to teorje Modrzewskiego, a następnie Staszica o Rzeczypospolitej, jako słudze „towarzystwa", t. j. społeczeństwa. Zarazem zaś mamy tu nowe uzasadnienie dążności politycznych narodu: państwo narodowe jest koniecznością logiczną demokratyzacji kultury narodowej, koniecznością, do której naród, o ile żyje i chce żyć, musi podążać drogą demokratyzowania instytucji społecznych, samorządowych i politycznych, będących osłoną i ramami kultury narodowej [1]).

Tezy takie, usuwające, zarówno frazeologję powstańczą, jak i wszelkie teorje abdykacyjne, mogły być wyrazem tylko warstw pracujących narodu, dla których państwo jest przedewszystkim pojęciem praktycznym — siłą, osłaniającą warsztaty i regulującą warunki pracy narodowej.

Politykę na tych tezach o opartą, prowadzą narody na wskroś demokratyczne: Czesi, Chorwaci, ludy bałkańskie, Duńczycy, a odczuwamy ją na swej skórze od strony Rusinów. Taką też politykę mogły zapoczątkować i polskie warstwy pracujące, gdy ogólna demokracja instytucji politycznych i lud galicyjski powołała do urn wyborczych i rad powiatowych, słowem do codziennej pracy publicznej.

Nowością bowiem było u ludowców także i zarzucenie konspiracji w polityce, co z małymi wyjątkami przeciwstawiło ich wszystkim dotychczasowym partjom demokratycznym w Polsce. Sprowadziło to na nich represje, począwszy od drobnych szykan biurokratycznych, aż do użycia broni, do klątw biskupich, aż do codzienych nadużyć konfesjonału dla wnoszenia waśni w rodziny chłopskie, było natomiast logiczną konsekwencją samej idei ludowej.

Demokratyzacja polityki codziennej, musi pociągnąć za sobą odpowiedzialność polityków i zarazem udostępnienie działalności politycznej szerokim masom. To zaś wszystko nie da się pomyśleć bez jawności. Drogą ciernistą (z 17 np. N-rów *Przeglądu Społecznego*, pisma o ściśle naukowym charakterze, skonfiskowano 11, a *Przyjacjel Ludu* rzadko kiedy ukazywał się w porę)

[1]) Zaznaczyć tu musimy, że w ten sam sposób niedawno uzasadnił program polityczny jednego z odłamów socjalizmu polskiego Dr. Wł. Gumplowicz.

propoganda ludowa zdobyła prawo obywatelstwa, w r. 1895 odrazu 7 posłów Ludowców weszło do Sejmu, przezwyciężywszy niebywałe przeszkody...

Nie będę kreślił tu dziejów Stronnictwa Ludowego w Galicji. Zaznaczę tylko, że okoliczności uczyniły je stronictwem chłopskim i to stronnictwem bogatszych chłopów, co nie mało osłabiło rozpęd polityczny ludowców. Obok przyczyn ogólnych, które w całej Europie Środkowej: Skandynawji, Finlandji, na Litwie, Rusi, i w Czechach, krajach bałkańskich — pod sztandarem radykalizmu gromadzą przedewszystkim masy chłopskie, działały tu warunki miejscowe, wspóczesne wystąpieniu ludowców na widownię dziejową. Proletarjat miejski, skupił się już koło socjal-demokracji, inteligencja zawodowa w Polsce nazbyt jest blizka szlachcie, aby tak, jak gdzieindziej, stać się idejową ostoją radykalizmu. Galicyjscy zaś chłopi w tym czasie byli rozbudzeni przez demagogję Stojałowskiego i czekali tylko na program polityki codziennej, który im dali właśnie ludowcy.

Gorzej, że warunki życia galicyjskiego, wplątały młode stronnictwo w odmęt polityki zakulisowej, szacherek gabinetowych i dorywczych korzyści, dzięki których nazbyt często kwestja kolczykowania świń lub konsensów szynkarskich na dalszy plan odsuwała sprawy zasadnicze. Te też warunki — wraz z nazbyt raptownym przeskokiem od młodzieńczego radykalizmu do śliskich paktów i koordynacji — niemało przyczyniły się do zeszłorocznej katastrofy Stapińskiego i organizacyjnego rozbicia w Galicji obozu ludowego.

AWICZ.

Źródła tragedji serajewskiej.

I.

Panujący od lat kilku w Austro-Węgrzech system, który naszkicowałem w artykule p. t. „Współczesna Austrja“, pociągnął za sobą straszną konsekwencję. Od kuli serbskiego bojowca padł faktyczny kierownik wewnętrznej i zewnętrznej polityki tego państwa, niedoszły twórca Wielkiej Habsburgji, osobistość o niepospolitych zdolnościach i żelaznej woli, arcyksiążę Franciszek Ferdynand.

Śmierć jego oddała rządy państwa napowrót w ręce 84-letniego starca, szanowanego dla zalet swego umysłu i kochanego dla zalet swego charakteru, jak mało kto z monarchów Europy, ale państwo wróciło w jego ręce w stanie opłakanym: wszędzie nędza, bankructwa, emigracja i zastój, bilans handlowy pasywny na setki miljonów, dług państwowy przeszło podwojony, instytucje prawodawcze zniszczone lub sprowadzone, jak sejm węgierski, do karykatury, granice otoczone wieńcem wrogów, do których przyłączył się najwierniejszy dotąd sojusznik Rumunja, jedyny sprzymierzeniec na którego wierności budowano cały gmach ekspansji na wschód i południe — Rzesza niemiecka więcej niż niepewny. (Miarodajne organy z krzyżacką obłudą, ubolewają nad smutnym stanem Austrji, który sobie sama sprowadziła i dodają, że Niemcy cokolwiek nastąpi muszą utrzymać — swój dotychczasowy dostęp via Tryjest ku morzu Śródziemnemu. Takie było stanowisko bezpośrednio po zamachu, dopiero kiedy zorjentowano się, że Austrja wojny nie zacznie, znalazły się serdeczniejsze słówka). Strwoniono w ostatnich latach nietylko finansowe zasoby państwa austrjackiego, ale i kapitał bezcenny przywiązania do monarchji, który tyle lat zbierał Franciszek Józef. Czechom skasowano autonomję, Włochów wyrzucano z dnia na dzień ze służby komunalnej ich własnych miast, Węgrów obdarzono systemem korupcyjno-policyjnym Tiszy, potulnych Rumunów prześladowaniem religijnym doprowadzono do rzucania bomb — system absolutystyczno-militarno-katolicko-niemiecki straszne zrodził owoce. Dziś mają na to wszystko poradzić osobiste przymioty złamanego nieszczęściami i ostatnią chorobą starca, który ponownie obejmuje rządy. Czy zdoła zagoić wszystkie rany zadane przez system Stürghków i Tiszów, Potiorków i Cuwajów?

Najgroźniej przedstawia się sytuacja na terenie ostatniego zamachu, w krajach południowo-słowiańskich, gdzie rządząca klika wojskowo-klerykalna zdołała w kilka lat wyhodować ruch rewolucyjny, którego ofiarą padł arcyksiążę.

Obszar zamknięty Drawą, Maruszą, granicą Bułgarji i Grecji, Adrjatykiem i Tyrolem, zajmuje kilkunastomiljonowy element etnograficzny, który w ostatnich czasach zaczął nadawać sobie nazwę narodu „Jugosłowiańskiego“. Językowo dzieli się na dwa odłamy: $1^1/_2$ miljonowy szczątek zajmujących niegdyś całe Alpy do Inu Słoweńców, dziś zredukowany do obszaru Krainy, Zitorala i części Styrji i Karyntji i obejmujący resztę odłamu serbsko chorwackiego. Między językiem słoweńskim a serbsko-chorwackim zachodzi tak wielka różnica jak między wielko — a małoruskim. Słoweńcy są katolikami, Serbo-Chorwaci dzielą się religijnie na trzy wyznania: Serbowie w obu niepodle-

głych królestwach i na wschodzie południowej Słowiańszczyzny austrjackiej są prawosławni, Kroaci na Zachodzie są katolikami, część Serbo-Chorwatów bośniackich i macedońskich wyznaje islam. Mimo wspólnego języka, religja, kalendarz i pismo (głagolica, alfabet łaciński i arabski) przeciwdziałały długo wytworzeniu wspólnej świadomości narodowej, na czem doskonale wychodzili zdobywcy tych ludów: Niemcy, Węgrzy i Turcy i starali się jak najdłużej ten stan rzeczy podtrzymać, szczując ustawicznie jednych na drugich.

Utrudniała rozbudzenie świadomosci narodowej „Jugosłowian" również ich struktura społeczna; szlachta została przez zdobywców Niemców, Węgrów i Turków w zupełności zasymilowana, ciężka niewola opóźniła rozwój ekonomiczny i uniemożliwiła powstanie mieszczaństwa; do dziś są to społeczeństwa prawie wyłącznie chłopskie, mimo wielkich wrodzonych zdolności utrzymane przez najeźdźców sztucznie na niskim poziomie oświaty.

Wobec tej Jugosłowiańszczyzny, Serbja długi czas nie mogła myśleć o roli Piemontu. Niedawno wyrwana z niszczącej gospodarki tureckiej, wyzyskiwana ekonomicznie przez okalającą Austrję, szarpana zajadłymi walkami stronnictw, cierpiała nadto wiele od dynastji Obrenowiczów, związanej z Austrją za udzielone poparcie, a być może za haniebniejsze jeszcze rekompensaty.

Pierwsze prace nad odrodzeniem i zespoleniem kulturalnym organizacji oświatowej młodzieży i inteligencji, „Omladiny" (w drugiej połowie XIX wieku) uległy prześladowaniom władz węgierskich i wysługujących się im Obrenowiczów. Do końca XIX wieku Jugosłowianie austrjaccy, rozbici na szereg krajów koronnych toczyli tam, każdy na własną rękę, walkę z napierającym, o wiele wyższym kulturalnie i ekonomicznie żywiołem włoskim i niemieckim. W właściwym królestwie węgierskim cierpieli od ucisku madjarskiego; przyobiecana w konstytucji 1867 autonomja Kroacji, była ciągle przez rząd węgierski obcinaną, przyczem przychodziła Węgrom w pomoc zacięta walka religijna między katol. Kroatami, a prawosł. Serbami, w której rząd zawsze opierał się na tej stronie, która więcej opuściła z postulatów autonomicznych, judząc obie strony, a niedopuszczając do stanowczego zwycięstwa żadnej. W okupowanej 1878 Bośni pobudowała Austrja strategiczne koleje i gościńce, a obaj długoletni zarządcy Kallay i Burian byli mistrzami w pokazywaniu światu potemkinowskich obrazków świetnego rozwoju kraju, ale za powłoką blichtru krył się skombinowany wyzysk fiskalny z brutalnością wojskowej administracji. Zdobywcy traktowali kraj jako kolonję do eksploatacji dla urzędników ściągniętych z całych Austro-Węgier i legjonu peszteńskich i wiedeńskich spekulantów. Dla pozyskania muzułmańskich „spahi", właścicieli ziemskich, pozostawiono turecki system pańszczyźniany „trzecinę", tylko że prawosławni i katoliccy „kmetowie" mieli teraz jeszcze prócz ciężarów na rzecz pana wszystkie ciężary, które ponoszą inni obywatele Austro-Węgier. Równocześnie powodował masowy wyrąb lasów zwiewanie przez wiatry cienkiej wierzchniej gleby, tak że pokaźne obszary zamieniły się podczas krótkich rządów austrjackich dosłownie w pustkowia, ku szkodzie samego państwa. Z żadnego kraju Europy nie ucieka też ludność tak masowo do Ameryki, jak z Bośni.

D. n.

M. DĄBROWSKA.

Krasienin.

Z CYKLU «SZLAKIEM PRACY».

I.

Z Lublina nie każdy dorożkarz do Krasienina chce jechać.

„Pani—polska droga! Na Jakóbowice doły—na Snopków nie lepiej".

Znalazł się jednak taki, który pojechał za trzy i pół rubla.

Z godną lepszej sprawy skrupulatnością wjeżdżał w najgłębsze miejsca wszystkich dołów, kołysankę mi taką urządzając niezbyt słodką.

Krasienin—o dwie mile od Lublina oddalony, w Lubartowskiem powiecie leży.

Dawna Łosiów siedziba.

Dwór stoi na wzgórzu, w najpiękniejszem miejscu, zwięzłej budowy, murowany, ma lekką do pałacowatości pretensję. Ganek ma wyniosły, na dwunastu stopniach wsparty—ponad boczne skrzydła dachu białemi kolumnami sięgający.

Rozciąga się stamtąd widok zachwycający na ziemię piękną i falującą z jej lasami, które stapiają swą barwę z powietrzem w czarujące modre smugi i szramy, na szmaragdowym obliczu pól.

Dawniej zasłaniał ów widok park — dziś park wycięto i sprzedano w dużej części.

Od białych słupów nieistniejącej bramy ciągnie się — chluba lubelszczyzny — jedna z królewskich pięknych lipowych alei.

Z obu stron rozsiadły się wsie: Krasienin, Wola Krasieńska, Osówka—na gruntach dawnej siedziby panów dziedzicznie panujące.

We dworze jest już drugi rok szkoła gospodarska dla dziewczyn wiejskich przez p. Irenę Kosmowską założona.

Uczennic jest obecnie 32 — kurs trwa od stycznia do grudnia—11 miesięcy.

Stary Maj, chłop, który opowiadał mi różne z przed pięćdziesięciu lat historje, mówi o tym dworze:

„Wystoł się, wystoł pałacysko, a tero gwar i śpiew"

W samej rzeczy pałacyk długo stał pustkami.

Wieś Krasienin powstała się przy bardzo szerokiej drodze wiejskiej, która przy staraniach piękną ulicą staćby się mogła. Dziś jednak porasta chwastem i kurzem do góry się wzbija — a domy przy niej po stokroć za ciasno budowawane jeden uroczy stos dla ognia tworzą.

Chaty są niewielkie, prawie wszystkie jednoizbowe, wszystkie kryte słomą—bielone lub nie barwione wcale. Do drogi zwrócone są szczytem, albo nawet tylną ścianą, a wejściem do podwórza. Często tylko to jedno wejście do chaty istnieje. Tylko jedną chatę, stojącą frontem do drogi, z wyjściem na sad, zauważyłam.

W izbach spartańska prostota, żadnego zdobienia, tak samo jak niema go i w stroju. Zaledwie bowiem paru starszych gospodarzy w sukmanach widziałam. Jedyną postacią stroju oryginalnego są tu owe olbrzymie, pod brodę tasiemką przewiązane kapelusze, „zębatki" z grubej słomy—lub gładkie, cieniutko jak sukno plecione.

Przy tej prostocie razi brak najelemetarniejszej estetyki, hygieny i nawet porządku. Nie wszyscy tu się też myją mydłem codzień i choć pono obecnie ręczniki i miska z wodą wchodzą coraz więcej w użycie, w każdym razie starają się mieć te „statki" zaraniarze, których tu sporo.

I rzecz szczególna. Właśnie tu w Lubelskiem i w Krasieninie spotyka się na każdym kroku umysły lotne, chybkie, ludzi prawie bez wysiłku kulturalnych i oświeconych — zdolność do przejmowania się każdą sprawą wielką narodową.

Niedarmo noszą ci ludzie cudowne skrzydlate kapelusze, które zdają się w górę ich unosić.

Kolonja Kaliszan, którzy się na Krasieńskich obszarach osiedlili, ma chaty, ogrody i kwietniki idealnie czyste, piękne, wytworne [1]), ale zato nie rwie się do niczego więcej, nawet do czytania.

Praca kulturalna i społeczna idzie w Krasieninie dzielnie. Jest to właśnie jedna z prób tej cywilizacyjnej pracy, która usiłuje tworzyć coś, cobyśmi sami sobie zawdzięczali — i coby nas zatem *obowiązywało*.

Dziarską rolę odgrywają w niej zaraniarze. Miejscowy proboszcz w niczem prawie udziału nie bierze. Zabrał się z chłopami do sklepu współdzielczego, i gdy wszystko inne szło, właśnie sklep się o mało nie rozleciał, zanim zdążył wejść w życie.

Ostatecznie wycofał się ksiądz i z tego, bo mu nie dano zbyt autokratycznie rządzić.

Jeszcze się typ polskiego księdza Fausta-pracownika, nie stworzył. Może wyłonią go z siebie zaraniarze?

Bo przecie on musi wyjść z psychiki śmiałej, twórczej, idącej po linji największych niebezpieczeństw, i szukającej dla Polskiego życia nowych dróg w każdej dziedzinie.

D. n.

1) Wpływ Poznańskiego.

MIECZYSŁAW LIMANOWSKI.

Z teatru dla Teatru.

Z dwóch teatrów, poświęconych poważnej Sztuce dramatycznej, *Teatr Polski* w Warszawie, pomimo ciężkich warunków (niesprawiedliwy ciężar 6-tej części!) polotem swoim, ruchliwością repertuaru, wysiłkiem w kierunku podniesienia poziomu dekoracyjnego zostawiał chwilami daleko za sobą *Teatr Rozmaitości*, wlokący się, chcąc niechcąc, za swą młodszą siostrzycą i przeklinający tę młodszą siostrzycę, zmuszającą go do pochodu, który „mocno kosztuje".

Teatr Rozmaitości jeszcze wciąż Sztukę trzyma nad sobą w obłokach, a sam wykonywa presdigitatorskie ruchy, aby mamonę zgarnąć w zachłannie rozwarte ręce. Obowiązany z punktu moralnego (teatr bez 6-ej części!) do wielkiej Sztuki, do nowych dróg i eksperymentów, wyglądał nie jak gniazdo wschodzącej twórczości, ale jak śpichlerz lub lamus zawalony mocno podejrzałem rupieciem. Dość powiedzieć, że sztuki Rydla zagwożdżały scenę przez pół roku przeszło; inkubacja najtańszego „patrjotyzmu" pozwalała teatrowi skwapliwie złoto inkasować.

Przybycie Solskiego do Warszawy, z tem przybyciem połączona przebudowa teatru Rozmaitości, zdawało się być nowym świtem; Warszawa przywiązywała duże nadzieje, powiedziałbym, ogromne nawet, do nowego dyrektora, który był tak epokowo przyczynił się do rozwoju sceny w Krakowie. Solski jednak zawiódł poniekąd nadzieje. Odurzony widocznie wielkim miastem, zmącony tysiącem krzyżujących się sprzeczności, przestraszony tem, że Sztuka w Warszawie nie jest nastrojem czy luksusem dla elity, jak w Krakowie (ale platformą koniecznego Bytu: przeciwstawieniem niewzruszalnych pierwiastków racjonalności samego Życia), wytrącony ze spokoju i pozbawiony atmosfery symbiotycznie-współtwórczej, która w Krakowie panowała naskutek skupionych malarzy i literatów; Solski zahukany, zamiast skoncentrować się w sobie i jednym susem jako twórca-aktor zawładnąć do ostatka zanarchizowaną sceną Tea-

tru Rozmaitości (anarchizm z doby J. Kotarbińskiego), odprawiał jakieś lamenty, które przedostawały się raz wraz do świadomości publicznej. P. Solski powinien zrozumieć, że każden jego krok twórczy będzie natychmiast powitany tysiąckrotnym odzewem w społeczeństwie; w walce z anarchizmem „pierwszej sceny polskiej" zwycięży tylko, skoro się oprze na tem, co jest młode i pełne sił — wszelkie pochylenie oportunistyczne głowy, wszelka gotowość do ustępstw stokroć gorzej widziane są u niego, niż u kogokolwiek innego; społeczeństwo polskie wymagać bowiem ma prawo, aby kierownik „pierwszej sceny", *dyrektor z wielką przeszłością*, był człowiekiem z charakterem, artystą-twórcą — nowatorem na drodze Sztuki Teatru i przez to *dalekim od wizerunku tych groszorobów*, od których roiła się ta scena w ostatnich dziesiątkach lat.

Przez cały rok nie widzieliśmy w grze Solskiego nic takiego coby nie było już wzeszło w przeszłości, na scenie lwowskiej lub krakowskiej. Dla Warszawy to trochę za mało powtarzać siebie samego. Wszystkie akcenty, wszystkie gesty, mimika twarzy, efekty, czasem istotnie głębokie chwile, wszystko było z przeszłości: łaknęliśmy nowych dróg, nowych intuitywnych wzlotów w nową i nieodkrytą jeszcze krainę, twórczości i twórczości... napróżno. Sumienie nam każe powiedzieć: *Solski zawiesił w Warszawie swą twórczość na kołku* i dlatego nie może opanować swojego teatru.

Kiedy się dziś, po roku, rozważa mowę Grzymały-Siedleckiego przy otwarciu odnowionej sceny Teatru Rozmaitości, owe odżegnywanie się od tego, co jest młodością, a zarazem owo upadanie plackiem przed czemś, co nazywa się „wypróbowanem pięknem" i kiedy się ten program buńczuczny zestawia z bilansem całego roku, to mimowoli przypomina się ów wojskowy na białym koniu przed nierozegraną wojną; wojną, przed którą należało się raczej modlić, niż fanfaronować.

Teatr rozpoczął *parodją Fredry*. Skandaliczne dekoracje w „Zemście", haniebna, do ostatka bezmyślna inscenizacja (topografję tej inscenizacji podamy kiedyś dla potomności!), wyśrubowanie genjalnej komedji na „frasunek" prowincjonalnego miasteczka, niedające się przebaczyć wypaczenie humoru Fredry na łzawomdłą nudę były pierwszą karą Przeznaczenia za ową fanfaronadę przed pierwszą bitwą. Po Fredrze coraz większy upadek... aż po tę sztukę „koniec Mesjasza", w której dekoracje, jak ktoś dowcipnie zaznaczył, owe grynszpanowe palmy i bajadery różowo-nagie, obok srogiego sułtana i świętego proroka, były żywcem skopjowane z jakiegoś pudełka cygar, jeśli nie Trabucos, to Hawana. Ani razu przez cały rok nie wystąpił Teatr Rozmaitości z prawdziwym oddechem czystej i wielkiej Sztuki: Moliere bowiem był niedociągnięty i wypaczony. Bezkarność grafomanów swojskich i nieswojskich pasorzytowała na deskach, które przeznaczone są dla tego, co jest Nieśmiertelne.

Teatr Polski, przeciwnie, musimy to podkreślić, miał wysiłki, aczkolwiek niepełne, jednak bardzo rzetelne (bez fanfaronady, jeżeli się abstrahuje od bardzo niesmacznego pamiętnika teatru, prawdziwej reklamy!); miał dni święta Sztuki w Warszawie. Uważamy, że wystawienie Juljusza Cezara, mimo wszystkich zarzutów, któreśmy uczynić musieli oraz wystawienie „Pigmaljona" Shawa były czynem wysoko stojącym, o całe niebo nad przeciętnością i szarością Teatru Rozmaitości. „Balladyna" była parodją, ale wina spada w lwiej części na sam teatr, który jest „przedpotopowo" zbudowany i nie może żadnej sztuki inscenizować kontrapunktowo, oraz na krytykę polską, która wmawiała w publiczność przez dziesięciolecia całe, że „Balladyna" jest antologią z Szekspira (ob. „Balladyna" jako mistyczne zwierciadło świata. *Sfinks*. Czerwiec 1914).

Szyfman, dyrektor Teatru Polskiego, jest dyletantem w Sztuce, tak jako inscenizator, jak i reżyser; niema on w tych dziedzinach nic do powiedzenia; zato jest doskonałą i pierwszorzędną siłą organizacyjną, do najwyższego stopnia ruchliwą i wsłuchaną w to, co jest na Zachodzie. „Balladyna", oddana Ruszczycowi, oznacza, że Teatr Polski zrozumiał, że *inscenizacji powinien szukać za reżyserami własnego teatru*. Pierwszy krok, aczkolwiek w pewnej mierze nieudały, nie powinien zrażać Dyrekcij; przebudowując scenę (tworząc szeroko zorganizowane proscenium), zdoła Teatr Polski zapewnić sobie pod przyszłe sztuki „podeszwę" na dualistycznie sprzężone zespoły.

Nie będziemy szczegółowo punktowali całego repertuaru obu teatrów. Zaznaczymy jednak, że *repertuar w obu teatrach nie wykazuje ani cienia jakiejś myśli przewodniej.* Repertuar musi być, jak plan bitwy, z góry obmyślany: musi on być rozważony, ustalony, potem realizowany. W repertuarze musi być *idea jakaś*, *myśl*: z repertuaru samego powinno się wiedzieć dokąd teatr idzie, co zamierza. Pod tym względem Teatr Polski, jak i Teatr Rozmaitości, są na pełnych falach „amoralnego" życia. Są to teatry, które żyją z dnia na dzień, bez myśli o jutrze, bez jednego spojrzenia na to, co przeszło. Jest w tych obu teatrach—brak organizatora artystycznego, duszy centrującej wszystko,—ani Solski bowiem, który jest przedewszystkiem aktorem, ani Szyfman, który jest organizatorem materjalnych sił, nie wiedzą i nie rozumieją, co znaczy kościec zasadniczy dla takich teatrów, którego wymaga przedewszystkiem dzisiejsza doba. Oba teatry są przez to też dalekie od porozumienia między sobą — nie rozdzielają one pracy między siebie, ale wchodzą sobie w drogę; nie dopełniają się, ale chwilami powiększają anarchizm teatru, który w Warszawie chyba doszedł już do maximum.

Rzeczy i ludzie.

Najlepszą księgą świata jest twój własny mózg.

* * *

Duch: ogół rzeczy silniejszych nad lubieżność.

N. MIŁKOWSKA-SAMOTYHOWA.

Pamięci Tadeusza Zylberbauma.

W końcu czerwca zmarł w Szwajcarji. Dowiedziałam się o tem z pism, z serdecznej wzmianki któregoś z kolegów. Wśród ludzi, którzy go znali bliżej, pozostawił głęboki po sobie żal. Czemu odszedł tak młodo—bo odszedł dobrowolnie? Budzi się pytanie smutne, na które nie da odpowiedzi. Mam przeświadczenie, że mógłby żyć — żyć dobrze i owocnie. Posiadał w sobie jeszcze niewyczerpany, młody zasób sił intelektualnych i uczuciowych, które złożyłby w darze po powrocie Ojczyźnie.

Człowiek o duszy serdecznej, szczerej i wiernej, o czujnym i wrażliwym sumieniu, o hojnej, gorącej uczuciowości. Intelektualista—i entuzjasta, dążący stale do osiągnięcia harmonji pomiędzy sobą a życiem, nie był ani trochę doktrynerem. Analityk własnych stanów ducha, a równocześnie pełen bezpośrednich, prostych i pięknych społecznych towarzyskich odruchów i konkretnych planowych czynów.

Bardzo młodziutki przybył do Brukselli. Tu rozpoczął studja uniwersyteckie, w sposób odrazu systematyczny i sumienny. Tu zetknął się z różnorodnością ludzką i począł orjentować się w środowisku polskim ludzi, przeważnie od siebie znacznie starszych. Nie poszedł na oślep, lecz wybierał. W wyborze nie kierował się przypuszczalną łatwością współżycia; stosunek swój do otoczenia kształtował raczej mozolnie, wypracowywał, wkładał weń całą duszę. Już wówczas zarysowały się zasadnicze cechy tego charakteru: prawość' odwaga cywilna, wierność i pogłębianie każdego przeżywanego faktu, zresztą zgoła bez tendencji do cierpiętnictwa. Należał do ludzi, dla których życie jest trudne, bo opanowują je sumiennie, dokładnie i całkowicie; niemniej posiadał zewnętrzną pogodę i wesołość.

Gdy ukonstytuowało się Stow. polskie Joachima Lelewela, Zylberbaum, już podówczas w Brukselli nieobecny, zgłosił doń swą kandydaturę i został jaknajserdeczniej przyjęty na członka. Zdala czynny swój udział przez nadsyłanie listów i odczytów dokumentował. Wśród młodych obywateli Polski, których kształci obecnie zagranica, był jednym z najgoręcej, najuczciwiej kraj kochającym, a jako realne wartości przyniósłby mu gruntowną wiedzę, dużą kulturę i specjalny wdzięk w czynach, który cechuje ludzi subtelnych i dobrych.

Śmierć jego jest faktem nieodwracalnym i straszliwie smutnym. Trudno w nią uwierzyć i zgodzić się na nią. Bo nie wyczerpał żadnej ze swych możliwości, a właśnie siły z zamiarami mierzyć już miał.

Wierzę, że mógłby nie umrzeć i potrzeba na to było tylko *przejawiającej się*, mniej biernej sympatji ludzkiej. W tym znaczeniu uważam, że śmierci tej winniśmy wszyscy ci, cośmy go *znali* i byli mu życzliwi, lecz przez brak aktywnej serdeczności w chwilach trudnych jakiegoś tragicznego przełomu, zostawili go osamotnionym, bez owej niezbędnej człowiekowi atmosfery współczucia i przyjaźni.

Z brukselskiego grona czasowych emigrantów, związanych imieniem Lelewela, ubył pierwszy, a niemal najmłodszy wiekiem. Śmierć jego dla pozostałych, a dziś już i poza Bruksellą po Europie i kraju rozsianych, będzie ołowianą niespodzianką.

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 1-ej do 2-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Ogłoszenia po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy (strona zawiera 4 szpalty).

Do nabycia w Administracji «Prawdy»

TĘSKNOTA HETMANA

Jadwigi Marcinowskiej.

Poemat nagrodzony na konkursie «Sfinksa».

Cena kop. 50.

Dzieła Ignacego Radlińskiego

Przeszłość w Teraźniejszości, zbiór dociekań i rozważań społeczno-naukowych.

Historja nauki o człowieku.

Prorocy hebrajscy wobec krytyki i dziejów.

Apokryfy judaistyczno - chrześcijańskie: Księga wstępna do literatury apokryficznej w Polsce.

Apokryfy judaistyczno - chrześcijańskie w polskich przeróbkach.

Spinoza, rzecz historyczno-społeczna.

Dzieje jednego Boga.

Dzieje jednego z Synów Bożych.

Na przełomie dziejowym: początki piśmiennictwa judaistyczno-chrześcijańskiego.

Dwa dokumenty ludzkości: dziesięcioro przykazań Bożych i deklaracja praw człowieka.

Katolicyzm, Modernizm i Myśl Wolna.

Jezus, Paweł, Spinoza. Cena rb. 3.

We wszystkich księgarniach.

PISMA
Aleksandra Świętochowskiego

TOM I: Damian Capenko, Chawa Rubin, Karl Krug, Klemens Boruta, Oddechy, Na pogrzebie i Woły. **Rb. 1 k. 50.**

TOM II: Tragikomedja prawdy: On i ona. Z pamiętnika, Sam sobie, Moja głowa, Klub szachistów, Ona, Testament Alego, Starzec i dziecię, Cholera w Neapolu. **Rb. 1 k. 20.**

TOM III: Bajki, krajobrazy, Dwugłos miłości, Lew kamienny, Wesele Satyra, Hymn niemych, Strachy Pentelikonu, Dafte, Dwaj filozofowie, Dwa widma, Nad grobem, Asbe. **Rb. 1 k. 50.**

TOM IV: Piękna, Aspazja. **Rb. 1 k. 50.**

TOM V: Trylogja. Nieśmiertelne dusze: Ojciec Makary, Aurelji Wiszar, Regina. **Rb. 1 k. 50.**

TOM VI: Antea, Na targu, Hia, Pauzaniasz, Poddanka, Błazen, Za maską, Dachówka. **Rb. 1 k. 50.**

TOM VII: Duchy, trzy części. **Rb. 1 k. 50.**

TOM VIII: Duchy, część 4, 5, 6. **Rb. 2.**

Do nabycia w Administracji *Prawdy.*

Redaktor: **Wincenty Rzymowski.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, S-tokrzyska 11.